

Władza ludu czy władza ekspertów?

14 lipca 2022

Guy Debord, legendarny lewicowy myśliciel, pisał: „Wszyscy eksperci służą mediom i państwu, temu właśnie zawdzięczają status ekspertów. Każdy ekspert musi służyć swojemu panu, gdyż organizacja obecnego społeczeństwa doprowadziła do niemal całkowitego zaniku dawnych warunków niezależności. Ekspertem, który służy najlepiej, jest oczywiście ten, który łąże”.

Dodawał też, że w „społeczeństwie spektaklu” zarówno wypromowanie usługowego, jak i zniszczenie nieposłusznego eksperta nie stanowi większego problemu. Bez trudu można zorganizować oczerniającą kampanię a prawdziwość zarzutów nie ma żadnego znaczenia. Podobnie o ekspertach wypowiada się Slavoj Žižek: „Być może modelowym przypadkiem pozycji Mistrza, która stoi za dyskursem uniwersyteckim, jest sposób, w jaki dyskurs medyczny funkcjonuje w naszym życiu codziennym: na poziomie powierzchniowym mamy do czynienia z czysto obiektywną wiedzą, która odpodmiotowia podmiot-pacjenta, redukując go do obiektu badania, diagnozy i leczenia. Jednak pod tą powierzchnią można z łatwością zauważyć zaniepokojony, rozhisteryzowany podmiot, opętany lękiem, zwracający się do lekarza jako do swojego Mistrza i proszący go o otuchę. Odwołując się do jeszcze bardziej powszedniej sytuacji, wystarczy przywołać eksperta od rynku, który opowiada się za silnymi cięciami budżetowymi (obcięcie wydatków na opiekę społeczną, etc.) jako koniecznością wynikającą z jego neutralnej ekspertyzy pozbawionej jakiejkolwiek stronniczości ideologicznej: tym, co ukrywa, jest seria relacji władzy (począwszy od aktywnej roli aparatów państwa do przekonań ideologicznych), która podtrzymuje »neutralne« funkcjonowanie mechanizmów rynkowych”.

W tym kontekście zadać można by pytanie o to, co ukrywają i

podtrzymują „eksperci medyczni” i czy przypadkiem nie chodzi o uwikłania podobne, jak w przypadku „ekspertów ekonomicznych”. O tych drugich, w głośnym wywiadzie „Byliśmy głupi”, mówił prof. Marcin Król: „Bo rozsądny człowiek nie może mieć zdania o OFE. Można mieć emocje i uczucia z tym związane. I gwałtownie je wyrażać. Ale zdanie to mogą mieć ekonomiści, eksperci. I nie wierzę im jak psom. Bo jeden pracował w banku, który jest właścicielem OFE, inny po prostu doradza OFE i się bezczelnie wypowiada, a trzeci nie chce sobie robić kłopotów w środowisku i uchodzić za oszołoma, więc mówi to samo co tamci dwaj”.

Sam wywiad, pomimo że pokazywał już zafiksowanie uniwersyteckiej inteligencji na postaci Kaczyńskiego (które to zafiksowanie stanowić może dzisiaj jedno z największych obciążeń opozycji), to zresztą jedna z wielu lekcji, których „demokratyczna opozycja” do tej pory nie odrobiła. Mimo że słowa te padły już sporo lat temu z ust jej kluczowego przedstawiciela. Jeśli chodzi o rolę ekspertów, ze względu na strukturalne uwarunkowania, społeczne i ekonomiczne umiejscowienie i powiązania opozycji jako formacji i jej liderów, może to być zresztą niemożliwe. „Marsz przez instytucje” kończy się tak, że nawet lewica ułokowana na eksperckich pozycjach zajmuje się przede wszystkim obroną swojego statusu w ramach instytucji władzy, obroną samych tych instytucji i obroną status quo zapewniającego jej przedstawicielom wysoką pozycję społeczną.

Owi eksperci mogą mieć różną twarz. W ramach neoliberalizmu to przede wszystkim twarz ekonomisty i „naturalnych praw rynku”, ale dziś jest to także w dużej mierze twarz prawnika czy lekarza, którzy decydować mają o tym, jak wyglądać powinno państwo i jego ustrój i na czym polegać mają podstawowe swobody obywatelskie (lub ich brak). Jeśli zaś obywatele nie zgadzają się z opinią ekspertów – to znaczy, że ów lud jest niedemokratyczny. Prawdziwie demokratyczne są bowiem wyłącznie decyzje i opinie wąskiej grupy uprzywilejowanych ekspertów.

Przykładem tego zjawiska może być udostępnione niedawno w mediach społecznościowych przez jednego z powszechnie szanowanych i dość medialnych profesorów zajmującego się nierównościami społecznymi, badanie (pt. „Democracy Confused: When People Mistake the Absence of Democracy for Its Presence”), z krótkim komentarzem: „Poparcie dla demokracji, gdy rozumie się ją błędnie jako formę autokracji legitymizuje autokrację: ludzie, którzy twierdzą, że popierają demokrację, w rzeczywistości wyrażają w tej odpowiedzi poparcie dla rządów autokratycznych, gdy te ostatnie mylą z demokracją. Fakt, że zawyżone oceny demokracji zbiegają się z autorytarnym niezrozumieniem demokracji, potwierdza te dwie oznaki autokratycznej legitymizacji, która istnieje pod przykrywką pozornego poparcia dla demokracji”.

Komentarz sugerować miał „oczywisty” wniosek: w Polsce zagrożona jest demokracja, zmierzamy w stronę autorytaryzmu, a to dlatego, że (ciemny) lud nie rozumie, czym jest „prawdziwa” demokracja. Wystarczy jednak zajrzeć do samego badania, poza tytuł i abstrakt, żeby obraz się nieco skomplikował a w oczy rzuciło kilka innych kwestii.

Po pierwsze, badanie polegało na zestawieniu „rzeczywistego poziomu demokracji” z „ocenianym poziomem demokracji” w różnych krajach. Ten „rzeczywisty poziom” wyznaczany był na podstawie wskaźników finansowanej przez rząd USA fundacji Freedom House oraz Banku Światowego. Punktem wyjścia jest więc założenie, że te eksperckie instytucjonalne oceny i definicje są prawidłowe i „obiektywne” – to one definiują, czym jest, a czym nie jest „prawdziwa demokracja”. Rozumienie i postrzeganie demokracji przez lud jest zaś z założenia niepoprawne i może co najwyżej lepiej lub gorzej odpowiadać prawidłowej z założenia opinii ekspertów. Wydawać się to może paradoksalne, można by przecież teraz argumentować, że przeczy to podstawowej idei demokracji. Jeśli demokracja to rządy ludu, to również lud, w ramach sprawowania władzy, decyduje o tym, co jest demokracją, a co nie – nie powinni tego robić

niewybieralni eksperci.

Tak czy owak, z badania wynika, że w Polsce nie przeceniamy rzeczywistego poziomu demokracji. Podobne wyniki uzyskano np. we Włoszech, Japonii, Hiszpanii i Norwegii. Zgodnie z logiką artykułu, nie mylimy więc autokracji z demokracją i pod tym względem demokracja w Polsce nie jest „zagrożona”. Co ciekawe, najcelniej demokrację oceniano w Maroku, które to z kolei Maroko, według innego rankingu, dziennika „The Economist”, oceniane jest jako „reżim hybrydowy”.

W obu przypadkach mamy zresztą do czynienia z oceną „demokratyczności” dokonaną przez neoliberalne instytucje i neoliberalnych ekspertów. Odwołanie do mocy autorytetu, tego rodzaju chwyt retoryczny i światopogląd nie powinien może dziwić w przypadku kręgów konserwatywnych, ale jeśli jest to postawa, a coraz częściej podstawowy sposób argumentacji przedstawicieli liberalnej lewicy, czy nawet ruchów określających się jako anarchistyczne – zaczynamy mieć do czynienia z całkowitym odwróceniem znaczenia podstawowych terminów.

Lewica staje się więc technokratyczna. Pod płaszczykiem walki o demokrację kryje się walka o władzę i status ekspertów. Uprzywilejowanej elity realizującej jej interesy i decydującej nawet o tym, czym ma być demokracja. Władza ludu to według ekspertów, jak nietrudno się domyślić – władza ekspertów.

W wywiadzie opublikowanym w Kulturze Liberalnej, András Sajó (przedstawiony jako „węgierski konstytucjonalista, profesor prawa na Central European University. Były sędzia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Odznaczony przez RPO Adama Bodnara za zasługi dla ochrony praw człowieka. Autor książki „Ruling by Cheating. Governance in Illiberal Democracy”), mówi: „Weźmy przykład nowej Krajowej Rady Sądownictwa w Polsce. Proszę mi wierzyć, co do zasady jej konstrukcja opiera się na modelu hiszpańskim. Ten zaś celowo ukształtowano w taki sposób, aby ograniczyć rolę władzy

sądowniczej w procesie nominacji sędziów. Wynikało to z okoliczności, że po upadku reżimu Franco wydawało się, że sądy będą ostoją tradycji frankistowskiej, której należało się pozbyć. To w pełni zrozumiałe stanowisko. W Polsce wprowadzenie podobnego pomysłu wynikało z innej idei, choć również rewolucyjnej. Natomiast samo rozwiązanie instytucjonalne jest w tym sensie neutralne”.

Później, oczywiście, gimnastykuje się, dwoi i troi, aby wykazać, dlaczego te same rozwiązania w jednym wypadku są faszystowskie, a w drugim są esencją liberalnej demokracji oraz dlaczego w imię liberalnej demokracji można instrumentalnie i politycznie wykorzystywać i zmieniać prawo i jest to słuszne i szlachetne, ale gdy robi to ktoś sprzeciwiający się unijnym możliwemu, to jest to zamach na podstawowe wartości. Fragment ten jednak daje też pretekst do tego, żeby na zmiany ustrojowe w Polsce spojrzeć z innej strony. W końcu reformy Balcerowicza wprowadzono bez demokratycznego mandatu, łamiąc procedury, a jednym z ich głównych opozycyjnych obrońców jest Donald Tusk, który zresztą przed laty wybielał reżimy Franco i Pinocheta.

Można by więc reformy ustrojowe potraktować jako osłonę redystrybucji przed instytucjami powiązanymi z opozycją, która, gdy tylko będzie miała pretekst i okazję, przywróci z trudem wywalczone zdobycze socjalne do poziomu sprzed 2015 r. Narracja opozycji cały czas opiera się przecież w dużej mierze na sprzeciwie wobec „rozdawnictwa dla nierobów”. Czy zmniejszenie władzy niewybieralnych sędziów (w środowisku, w którym pozycja jest w dużej mierze dziedziczna) jest zmniejszeniem demokracji, czy też raczej jej zwiększeniem można by się całkiem zasadnie spierać. Obrona ustrojowego status quo lub też próba przywrócenia go, można odnieść wrażenie, służyć ma raczej obronie neoliberalnego porządku ekonomicznego.

Jest zastanawiające, że lewica, szczególnie liberalna, która na sztandarach ma walkę z wszelkimi przejawami symbolicznej

nierówności, dyskryminacją, paternalizmem, patriarchatem itp., itd., zarazem tak uwielbia powoływać się na autorytet ekspertów oraz nauki wyniesionej do kategorii religii. Tak jakby o relacjach między wiedzą a władzą, władzą a wiedzą, nie napisano tysięcy stron. Tak jakby nauka oferowała niepodważalne dogmaty, a nie była instytucją społeczną podlegającą różnorodnym uwarunkowaniom społecznym i ekonomicznym – wpływającym na treść naukowych ustaleń. Instytucją, z drugiej strony, której istota, nawet w najbardziej pozytywistycznych wizjach, zasadzać powinna się na nieustannym sceptycyzmie i podważaniu wcześniejszych ustaleń. Notabene, w głośnym niedawno filmie „Don't look up” „wybitni eksperci” to przecież właśnie ci, którzy na usługach wielkich korporacji dowodzą sensowności opracowanego przez nich katastrofalnego w skutkach planu.

Paternalistyczny stosunek wielbionych przez liberalną lewicę ekspertów do ludzi dobrze zaś obrazuje niedawna, opublikowana w Onecie, wypowiedź Emilii Skirmuntt, wirusolożki z Oxfordu: „Problem polega na tym, że rygorystycznych restrykcji nie można wprowadzać w nieskończoność. Bo ludzie przestają się słuchać”. Niezależnie od zasadności samych restrykcji, „nie słuchają się”, to język, jakim można mówić o niesfornych dzieciach, o nieposłusznym brzdąkach (lub o niewolnikach). Tak mówić nie wypada nawet o pacjentach, a co dopiero o obywatelach. Choć dobrze oddaje to rzeczywisty charakter relacji lekarz-pacjent i obrazuje fakt, że wraz z postępującą medykacją coraz częściej interpretowani jesteśmy właśnie raczej jako pacjenci – już nawet nie konsumenci czy obywatele.

Przykładem z obszaru psychiatrii, który można tutaj przywołać, a który dobrze obrazuje opisywane procesy, może być historia Konwencji ONZ o prawach osób z niepełnosprawnościami. Miała ona znacznie ograniczać możliwość stosowania leczenia przymusowego. Wypracowane w dużej mierze oddolnie demokratyczne rozwiązanie, z zaangażowaniem i udziałem organizacji pacjenckich, byłych pacjentów i ocalałych z

psychiatrii – zostało gwałtownie zaatakowane przez psychiatryczny establishment jako „sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem”. Pacjenci biorący udział w pracach nad przepisami określeni zostali przez ekspertów jako skrajni, radykalni, nieodpowiedzialni, niebezpieczni itp. W związku z tym wszczęto prace nad tzw. Protokołem z Oviedo, który te rozwiązania ma cofnąć – protestują przeciwko temu organizacje zrzeszające samych zainteresowanych, między innymi Polskie Forum Osób z Niepełnosprawnościami. Władza ekspertów uniemożliwia więc oddolne, demokratyczne zmiany, tak jak w tym przypadku, pozwalając chociażby na delegitymizację jednostek, grup i postulatów, które faktycznie mogłyby stanowić zagrożenie dla status quo. Do czynienia mamy więc z dyskryminacją epistemiczną: z odmawianiem całym rzeszom ludzi prawa/zdolności do adekwatnej oceny rzeczywistości. Psychiatria jest tutaj tylko skrajnym przykładem tego procesu. Demokracja, która miałaby polegać na władzy ekspertów, to właśnie technokratyczny autorytaryzm.

Wypierając te coraz bardziej widoczne w obrębie lewicy autorytarne tendencje, objawiające się także w poszukiwaniu lub wręcz kreowaniu coraz to nowych kozłów ofiarnych i grup, które należy wykluczać, przedstawiciele lewicy projektują je na wszystkich swoich oponentów, a fiksacja na symbolach, zamiast przyjrzenia się warunkom materialnym i realnym procesom społecznym, sprawia, że faszyzm dostrzegają już nawet w białoczerwonej fladze; nie widzą go jednak we własnym oku. Właściwie wszystkiemu, co wykracza poza obowiązujący w danym momencie zestaw prawidłowych poglądów liberalnej lewicy (a zestaw ten podlega nieustannym fluktuacjom, choć wyznawcy każdej kolejnej ortodoksji muszą z zapałem udowadniać, że właśnie tak zawsze uważali) przypina się łatkę faszyzmu lub inną modną w danej chwili wykluczającą etykietę. W tym polowaniu na czarownice (i czarowników) inkwizytorzy (i inkwizytorki) często podpierają się zresztą autorytetem „nauki”, a raczej wiarą w kazania kapłanów kościoła nauki, naukowych hierarchów – ekspertów. Tak „walka z faszyzmem”

coraz bardziej przypominać zaczyna sam faszyzm. Podobnie „walka z autorytaryzmem” lub też „obrona demokracji” to raczej hasła, pod którymi kryje się chęć zachowania lub przywrócenia wpływów uprzywilejowanej garstki beneficjentów transformacji gardzących ludźmi pracy – nazywanych nierobami. Zamek wampirów, którego mechanizmy opisał Mark Fisher, nie tylko działa w obrębie lewicy, ale także skutecznie zniechęca i wyklucza z jej grona ludzi, których lewica powinna reprezentować i którzy potencjalnie mogliby stanowić o jej sile. Za powoływaniem się na autorytet ekspertów stoi często zwykła wyższościowa pogarda wobec gorzej sytuowanych ludzi – gorzej sytuowanych głównie dlatego, że „gorzej wybrali sobie rodziców”.

O tym, czym jest demokracja, nie mogą decydować wyłącznie uprzywilejowane elity. „Koniec historii”, o którym pisał Fukuyama, dawno temu się skończył, choć tego neoliberalnego porządku zdaje się właśnie bronić lewica. Koncepcje ustrojowe sprzed tysięcy czy setek lat zupełnie już nie przystają do wyzwań współczesności. Nie ma gotowych rozwiązań, nie ma też rozwiązań, które, jak to uwielbiają nasze „elity intelektualne” można byłoby po prostu bezmyślnie skopiować z Zachodu (nawet jeśli kopiujemy rozwiązania od których Zachód, po tym jak się nie sprawdziły, już odszedł lub właśnie odchodzi...). W dodatku Zachód zmaga się z takim samym, o ile nie większym, kryzysem legitymizacji demokratycznych instytucji co Polska i coraz częściej wstrząsany niepokojami społecznymi zmierza raczej w stronę technokratycznej neoliberalnej dyktatury na wzór chiński. Tam jednak, w krajach bogatego unijnego centrum władzy, brutalnie tłumione protesty czy też rozwiązania systemowe podobne do tych polskich, najwyraźniej nie stanowią zagrożenia dla liberalnej demokracji i są akceptowane zarówno przez polskich (czy raczej: kompradorskich) ekspertów, jak i w ramach unijnych instytucji.

Pora w końcu zastanowić się, na czym miałyby w ogóle polegać demokracja, której w zgodzie z prawdziwie prospołecznymi

wartościami warto byłoby bronić.

Autorstwo: Radosław Stupak

Źródło: NowyObywatel.pl